

JAKUB PENSON

Dziewiąty dzień rozprawy, 3 stycznia 1947 r.

Przewodniczący: Oskarżony będzie mógł składać wyjaśnienia w każdym stadium sprawy. Proszę wezwać świadka dr. Jakuba Pensona.

Świadek Jakub Penson, 47 lat, lekarz, miejsce zamieszkania Łódź, w stosunku do stron obcy, za zgodą stron zeznaje bez przysięgi.

Przewodniczący: Proszę, niech świadek przedstawi Trybunałowi dokładnie, ale nie rozwlekle, wszystko, co świadkowi wiadomo w tej sprawie.

Świadek: Jako lekarz ordynator szpitala zakaźnego na Czystem, gdzie pracowałem przez cały czas istnienia getta, to znaczy od września do lipca 1942 r., miałem możliwość przyglądać się, obserwować i stykać się z pracą administracji lekarskiej, w pierwszym rzędzie na polu sanitarnym, w czasie epidemii i ogólnie podczas pracy. Właściwie rzekomej współpracy między niemieckim aparatem sanitarnym, który był podległy gubernatorowi Fischerowi, a światem żydowskim lekarskim, czynnym na terenie tzw. dzielnicy żydowskiej.

Przewodniczący: Czy to była komórka dystryktu?

Świadek: Tak jest, to była władza cywilna. Nazywała się *Gesundheitsamt*. Zacznę od września 1939 r. Szpital na Czystem, największy szpital w Polsce, był przeznaczony dla rannych żołnierzy i ludności cywilnej z okolicy Woli. Wypełniony był po brzegi ciężko rannymi. Wśród huku bomb, które szczęśliwie uszkodziły tylko niektóre budynki szpitalne i to nie najważniejsze, praca odbywała się ciągle i tak znaleźliśmy się już pod okupacją niemiecką. Wobec tego, że działania w 1939 r. uszkodziły w Warszawie kanalizację, wybuchła wtedy od razu, w końcu września i w październiku, epidemia duru brzuszego. Już w związku z tą epidemią mieliśmy możliwość po raz pierwszy zetknąć się z kulturą niemiecką, tym razem na odcinku sanitarnym. Któregoś dnia do szpitala nagle zajechał wielki tabor karetek sanitarnych i zaczął wywozić wszystkich rannych, żołnierzy i cywilnych, z terenu szpitala. Był to koniec września. Zupełnie nie orientowaliśmy się o co chodzi, szoferzy nam to wytłumaczyli. Otóż już wtedy mianowany został lekarzem sanitarnym na Warszawę

SS-man dr Schrempf i pierwsze jego zarządzenie brzmiało: Żyd nie może się leczyć w aryjskim szpitalu, aryjczyk nie może się leczyć w żydowskim szpitalu, Żyd nie ma prawa leczyć aryjczyka i *vice versa*. W związku z tym rozporządzeniem, które należało wykonać w ciągu dwudziestu czterech godzin, wszyscy ranni żołnierze i cywilni aryjczycy musieli być ewakuowani. Rzeczywiście zostało to wykonane błyskawicznie – tak, jak Niemcy potrafią. Prawie wszyscy żołnierze zabrali ze sobą koce, a Niemcy przy wywożeniu rannych zabrali bieliznę i pościel z całego prawie szpitala. Szpital był wtedy, rzecz prosta, w złych warunkach higienicznych, po brzegi wypełniony rannymi, nie było ani bielizny, ani pościeli.

Przewodniczący: Ile łóżek liczył szpital?

Świadek: Przed wojną był obliczony na 1,2 tys. łóżek etatowych, a mieliśmy wtedy chorych 2,5 tys. Tuż po tym, jak ewakuowano chorych, te same karetki zaczęły zwozić chorych Żydów ze wszystkich miejskich szpitali. Oczywiście, że szoferzy mieli rozkaz dostarczyć chorych do szpitala i wobec tego, że ich nie obchodziło, czy są wolne łóżka, wszystkich chorych lokowali na ziemi, na dziedzińcu szpitala. Była to mieszanina chorych: tyfus brzuszny, gruźlica, w ogóle wszyscy chorzy, jacy byli, zostali zmieszani, rzućni na trawniki i pozostawieni na łasce losu. Jednocześnie zarządzenie Schrempfa brzmiało, że szpital żydowski, który był szpitalem miejskim i znajdował się pod opieką magistracką, przestaje być szpitalem miejskim, natomiast należy do gminy żydowskiej i wobec tego władze miejskie nie mają prawa dostarczać ani żywności, ani węgla. Tu stanęliśmy zupełnie bezradni. Chorych było dużo więcej, niż mógł pomieścić szpital pozbawiony pościeli, bielizny, wody, żywności i węgla. W tych warunkach chorzy leżeli na podłogach i poddaszach, co oczywiście zawsze było lepsze niż leżenie na gołej ziemi w chłodzie jesiennym. Każdy zrozumie łatwo, że większość tych chorych, ponieważ nie znajdowała się w normalnych warunkach sanitarnych, zmarła.

To było pierwsze zetknięcie się z dr. Schrempfem. Stopniowo jednak, [dzięki temu], że pojawiła się woda i epidemia nie była tak wielka, choroba szybko wygasła. Ponieważ nowi chorzy, którzy napływali, byli to już tylko Żydzi i nie było ich tak wielu, w ciągu kilku tygodni opanowaliśmy sytuację. Poniekąd w tym sensie, że porozdzielaliśmy chorych zakaźnie od [tych z] chorobami wewnętrznymi i stopniowo do grudnia epidemia ta prawie zupełnie wygasła. Tu się zaczyna nowy odcinek, moim zdaniem bardzo ważny, który rzuca dużo światła na całe postępowanie nie tylko władz sanitarnych niemieckich, ale i na władze administracyjne – mianowicie chodzi o zagadnienie duru plamistego, które było tu wczoraj również omawiane. Właściwie

ten straszak epidemii duru plamistego to był bodaj jedyny i główny argument oskarżonego Fischera, na którym opierał to, że musiał utworzyć zamknięte getto.

Parę słów o tym powiem. Przede wszystkim jak wyglądała sprawa tyfusu plamistego w Polsce przed wojną? Dur plamisty w Polsce przed wojną należał do rzadkości. Występował jedynie endemicznie, a nie epidemicznie, to znaczy w małych ogniskach na wschodzie, głównie na Podlasiu. W Warszawie pojawiał się bardzo rzadko. Wystarczy, jeżeli powiem, że pracując przez kilkanaście lat w szpitalu na Czystem, w największym szpitalu w Polsce, widziałem dwa tylko przypadki duru plamistego. Tymczasem w końcu grudnia i w początkach stycznia 1940 r. do Warszawy zaczyna zjeżdżać fala Żydów, wyrzuconych brutalnie z terenów przyłączonych do wielkiej Rzeszy, a więc z Łodzi, Kalisza, Piotrkowa i wielu innych miast i miasteczek. Kierują się oni przeważnie do Warszawy. Staraliśmy się wytłumaczyć sobie, dlaczego tutaj. Przeważnie dlatego, że tu mieli krewnych, a po drugie dlatego, że szukali oparcia w wielkiej masie żydowskiej, jaka była w Warszawie. Sądzili, że tu znajdą opiekę. Niestety była to chwila, kiedy właśnie nieprzygotowana gmina żydowska miała objąć zarząd nad tak wielkim skupiskiem ludzi, zresztą jeszcze rozrzuconym po całej Warszawie, i mowy nie było, żeby opanować dziesiątki tysięcy ludzi, którzy przybyli zmaltretowani, wycieńczeni, brudni i zawszeni. Zawszeni dlatego, że w tych transportach z pobliskich miast, powiedzmy z Łodzi do Warszawy, ludzi trzymano całe tygodnie. Transport odbywał się w ten sposób, że ludzi zamykano w wagonach, wywożono gdzieś w okolice Brześcia, tam na bocznych torach wagon stał tygodniami i ludzie czysti, powiedzmy z inteligencji, przyjeżdżali brudni i zawszeni. Cała ta masa została skierowana do tzw. punktów dla bezdomnych, które mieściły się w kinach, szkołach, w halach fabrycznych, nic więc dziwnego, że gmina nie mogła opanować sytuacji. Wtedy zaczęła się pierwsza epidemia duru plamistego. Powtarzam, było to w początkach stycznia 1940 r.

Epidemia ta trwała dokładnie do maja tegoż roku. Przechorowało osiem tysięcy ludzi, w prawie stu procentach ludzie z punktów, a więc nie Żydzi, którzy mieszkali w Warszawie, ale wyłącznie z punktów dla bezdomnych.

Szpital znajdował się jeszcze wtedy w swojej przedwojennej siedzibie, dzięki czemu udało się epidemię bardzo łatwo opanować – chorzy z tych punktów byli kierowani do szpitala, wszystkie oddziały zostały zamienione na zakaźne. Tak we względnie dobrych warunkach epidemia została opanowana do kwietnia 1940 r., a później zdarzały się już tylko pojedyncze wypadki zachorowań.

I to chciałbym, żeby Trybunał sobie zapamiętał – że od kwietnia 1940 r., tzn. przez wiosnę, lato i jesień 1940 r. i całą zimę 1941 r. w Warszawie, w dzielnicy żydowskiej (bo w końcu 1940 r. została utworzona dzielnica żydowska) nie było epidemii duru plamistego, były tylko pojedyncze jego wypadki.

Wiosną 1940 r., właśnie wtedy, kiedy ta epidemia zupełnie wygasła, kiedy nie było nowych fal tych tzw. uciekinierów z Trzeciej Rzeszy, kiedy sytuacja była opanowana, wtedy właśnie zaczyna się w prasie niemieckiej wielka heca propagandowa, właśnie to, o czym mówił oskarżony Fischer. W tak zwanym szmatławcu, „Nowym Kurierze Warszawskim”, w „Warschauer Zeitung”, w „Krakauer Zeitung” pojawiają się liczne artykuły, jak zwykle u Niemców: bardzo rozwlekłe, oparte na cyfrach i wykresach, poparte przez cytaty z lekarzy o wielkiej sławie, jak prof. Kudicke, Lamprecht, Schrempf i inni, które głoszą, że Żydzi są rozsądnikami duru plamistego, ale sami chorują na tę chorobę bardzo lekko i umierają rzadko, natomiast aryjczycy są na tę chorobę bardzo wrażliwi, nieodporni i jeśli, broń Boże, wśród nich wybuchnie ta niebezpieczna choroba, grozi im wielkie niebezpieczeństwo. Tytuły tych artykułów brzmiały: „Wielkie niebezpieczeństwo dla świata aryjskiego”, „Należy się odseparować od diabelskich Żydów”, „Satanjuden”. Właśnie dlatego, że ci Żydzi lekko chorują, a szlachetni aryjczycy tak ciężko, dlatego jest to dziełem szatana. Taka była stereotypowa treść artykułów, które się ukazywały w prasie.

Oprócz tego ukazały się plakaty po całej Warszawie. Był wielki plakat, na którym był wizerunek straszego Żyda, wielkiej wszy i obok tego wielki napis „Żydzi, wszy i tyfus plamisty”. Poza tym były filmy, których nie oglądałem, filmy propagandowe, wyświetlane nawet dla dzieci szkolnych.

Wreszcie, w pewnych punktach miasta, najgęściej zamieszkałych przez Żydów, a właściwie na granicach tych terenów, zjawily się koźły z drutów kolczastych, a przy nich tablice z napisem: *Seuchengefahr, Durchgang verboten – nur Durchfahrt*. Tak było na rogu Złotej, Siennej itd., na całym terenie, który później był znacznie mniejszy, niż ten teren pierwotnie wyznaczony przez tablice i koźły z drutem kolczastym.

Nie mogliśmy wtedy pojąć, co to wszystko znaczy. Powtarzam, epidemia duru plamistego była już wtedy opanowana, w szpitalu na Czystym już chorych nie było. Zdarzył się wtedy wypadek, który przytoczę, rozmowy między dr. Schrempfem i dr. Hagenem. Doktor Schrempf

stwierdził, że nie ma już epidemii tyfusu plamistego i że to jest jego zasługa, a wtedy właśnie rozpętano tę hecę propagandową o niebezpieczeństwie duru plamistego.

Mniej więcej w tym samym czasie zdarzył się incydent, który świadczy o tym, że nawet na odcinku sanitarnym w szpitalu, gdzie, jak się zdaje, życie powinno płynąć spokojnie, niczym niezmacone, tam właśnie wystąpił niemiecki sadyzm, brutalność i okrucieństwo. Dr Schremppf wezwał nas nagle i zażądał raportu, ilu było chorych. Złożono mu raport, że chorych jest dwudziestu jeden. Po sprawdzeniu okazało się, że było chorych dwudziestu czterech. Wtedy dr Schremppf wpadł do sali chorych z krzykiem, że pozabija wszystkich lekarzy za ten raport, chwycił naczelnego lekarza, 75-letniego dr. Rotsztadta, aptekarza i intendenta szpitalnego i kazał poprowadzić do aresztu, gdzie przetrzymano ich osiem dni i dopiero za protekcją wypuszczono. Byli dwa razy dziennie bici, i to koniecznie nago, i traktowani w okropny sposób.

Tak wygląda uzasadnienie naukowe przez niemieckich uczonych, którzy wprzęgli się do rydwanu Hitlera i razem z nim zostali porwani i zepchnięci na dno moralnej nędzy.

Z satysfakcją powiem, że znalazł się jeden jedyny lekarz niemiecki wśród tylu, którzy się wtedy przewinęli. Był to anatomopatolog z Hamburga, który robił sekcję zmarłych na dur brzuszny, bo interesował się zmianami mózgowymi zachodzącymi w czasie tej choroby. On rozmawiał z nami po ludzku, witał się, a kiedy zachorował, wezwał nas, żebyśmy go zbadali. Powiedzieliśmy, że nam nie wolno badać aryjczyków. Zaczął wtedy biegać ze zdenerwowania po pokoju i wołać, że nie wie, co tu się dzieje.

Listopad 1940 r. był to okres, kiedy epidemii tyfusu plamistego nie było. Jeśli oskarżony Fischer twierdzi, że w tym czasie wybuchła wielka epidemia tyfusu plamistego i dlatego utworzył getto, to oświadczam, a pamiętam to, bo to się głęboko wryło w pamięć, że to jest bezczelne kłamstwo i że wówczas nie było epidemii tyfusu plamistego.

Po utworzeniu getta szpital na Czystem pozostał poza jego terenem.

Po zamknięciu getta zaczął się nowy okres, który nieuchronnie musiał doprowadzić do wybuchu wielkiej epidemii tyfusu plamistego. Wypadki rozwijały się i toczyły w bardzo szybkim tempie. Następowoło coraz większe stłaczanie ludności w getcie do nieprawdopodobnych granic dwiema drogami, przez ciągłe okrawanie dzielnicy – wyłączano coraz to nowe ulice, to

Sienną, to tę, to inną, a następnie przez przywożenie mas żydowskich z całego dystryktu – Żyrardowa, Grodziska i ogłaszanie w gazetach tych miast jako *Judenfrei*. Wielkie masy zostały rzucone do zamkniętego getta. Ciągnęły pieszo, na wozach, tramwajach, co tydzień pięć, dziesięć tysięcy. To nieuchronnie musiało prowadzić do wybuchu epidemii.

Trzeba dodać, iż przed zamkniętym gettem stało się widmo głodu, bo przydziały wynosiły dziesięć procent zapotrzebowania kalorycznego, przy czym było to w pierwiastkach mało wartościowych jak kartofle i kasza, a nie białko, tłuszcze i witaminy. Gros ludzi stało się masą nieproduktywną, bo odebrano im warsztaty pracy, żyli z dnia na dzień i czekali jakby cudu. Głód był wszechwładnym panem na tych strasznych ulicach.

Rozwija się szmugiel, tworzą się spółki poza murami i w obrębie murów, które pracują dobrze i ofiarnie, ale nigdy szmugiel nie może zaspokoić dziewięćdziesięciu procent braku kalorycznego zapotrzebowania i szmugiel jest dobrodziejstwem dla bogaczy.

Oskarżony Fischer wczoraj dowodził, że chciał zindustrializować getto, stworzyć wytwórnię, warsztaty, fabryki. Ale przypominę bardzo interesujące zarządzenia. W czasie tworzenia getta był rozkaz Fischera, że przenieść się mają niepracujący, a warsztaty, fabryki i rzemieślnicy będą mieli specjalny teren. Ale 15 listopada wyszedł rozkaz, że nikomu z getta nie wolno wychodzić, jak również rozkaz Fischera, że wszystkie pozostałe poza gettem warsztaty ulegają konfiskacie. Daleko prostsze byłoby pozwolić tym ludziom na zabranie tych warsztatów, zamiast konfiskować je po to, by potem starać się je z powrotem tworzyć.

Warunki higieniczne stawały się coraz okropniejsze, coraz więcej na ulicach widziało się żebraków, ludzi padających z głodu i umierających, trupy dzieci, osób dorosłych przykrytych papierem i obciążonych cegłami, żeby wiatr nie zerwał papieru. Tak wyglądała śmierć na ulicach getta w 1940 r.

Przy robieniu sekcji tych zmarłych nikt nie widział tkanki tłuszczowej. Nawet przy złośliwych chorobach – raku, gruźlicy – zawsze spotykaliśmy tkankę tłuszczową. Tu jednak nie widzieliśmy. Pierwszy raz zobaczyliśmy w sali sekcyjnej tkankę tłuszczową u zmarłych Żydów przywiezionych z zachodu, którzy, wrzuceni do getta, prędko się zarażali i umierali.

Amerykańscy badacze, którzy lubią robić doświadczenia, przeprowadzają badania w ten sposób, iż tworzą małe getta – miasteczka mysie, królicze i obserwują rozwój chorób

zakaźnych w tym miasteczku w tym sensie, że zakażają miasteczko jakąś chorobą, do niego rzucają sztuki niezakażone albo do miasteczka niezakażonego wrzucają sztuki zakażone. Administracja niemiecka podobne doświadczenia zrobiła na masie ludzkiej liczącej 400 tys. osób, a zamkniętej i stłoczonej w nieprawdopodobnie małych granicach, pozbawionej bielizny, mydła, możliwości zarobku. Do tej masy wrzucano nowe grupy niezakażone. Rzecz prosta, że to musiało doprowadzić do wybuchu epidemii tyfusu plamistego na wielką skalę. To nie było na jesieni 1940 r., lecz w końcu czerwca albo w lipcu 1941 r..

Dopiero po lipcu 1941 r. rozwinęła się druga wielka epidemia tyfusu plamistego w Warszawie, a więc w przeszło sześć miesięcy po utworzeniu getta.

Nie udało się opanować tej drugiej epidemii i trwała ona do kwietnia 1942 r., a więc dziesięć miesięcy. Zaraza była gwałtowna, objęła 100 tys. ludzi, a więc jedną czwartą całej populacji. Była bardziej złośliwa niż pierwsza. Kiedy poprzednio umierało dziesięć procent, zmarło osiemset osób na osiem tysięcy wypadków, to teraz ta śmiertelność dochodziła do dwudziestu pięciu procent, a więc ze stu tysięcy zmarło dwadzieścia pięć tysięcy osób.

Czas wybuchu epidemii był wybitnie niekorzystny do jej zwalczania, bowiem szpital na Czystem pozostał poza gettem i musieliśmy chodzić tam za specjalnymi przepustkami wydawanymi przez dr. Schremppa z dzielnicy żydowskiej przez dzielnicę aryjską, będąc narażeni na ciągłe szykany ze strony żołnierzy niemieckich, a zwłaszcza żandarmów.

Oni zabawiali się w ten sposób, iż łapali tych lekarzy, którzy musieli chodzić przez dzielnicę aryjską w opaskach i z legitymacjami w ręku, kazali brać im cegły, kamienie i robić ćwiczenia gimnastyczne.

Takie były zabawy przy wysiadaniu z tramwaju, którym nas dowożono. Niemniej wszyscy do pracy przychodzili, niejeden przychodził do roboty pobity i posiniaczony, ale przychodził. W samym szpitalu, dopóki był na Czystem, warunki pracy były dobre, budynek był dobrze urządzony. W pierwszych miesiącach po utworzeniu getta, to znaczy w lutym 1941 r., przyszedł rozkaz przeniesienia tego szpitala do dzielnicy żydowskiej. Zamiast wielkiego szpitala otrzymaliśmy dwa budynki, jeden przy ul. Stawki, drugi przy Lesznie – musieliśmy się pomieścić w gmachu zupełnie niedostosowanym do celów szpitalnych. Przewiezienie majątku szpitalnego też nie jest rzeczą łatwą, bo co prawda dr Schrempp zapewniał, że wywieźć wolno wszystko, ale przy wejściu każdy żandarm miał prawo rewidowania i zabierania,

co mu się podoba. Słynna niemiecka dyscyplina, jeżeli chodziło o sprawy żydowskie, nie obowiązywała. Każdy mógł robić, co mu się podobało. Doszło do tego po paru dniach doświadczenia, że cenniejsze rzeczy, jak przyrządy i mikroskopy przewoziliśmy w trumnach razem z nieboszczykami, żeby to jakoś przenieść do tamtego szpitala. Nic dziwnego, że w tych warunkach pracy, w nowych budynkach, druga epidemia, która wybuchła, wielka, zastała nas nieprzygotowanych. Warunki pracy były potworne, chorych nie było gdzie kłaść, w najlepszych wypadkach po dwóch – trzech w jednym łóżku. Zapełniono wszystkie korytarze, zanieczyszczenie szpitala [było] wielkie. Nie można było sobie z tym poradzić. Nic dziwnego, że w tych warunkach cały personel szpitalny się zakażał, straciliśmy wtedy kilkunastu lekarzy i kilkadziesiąt pielęgniarek i pracowników, którzy zmarli z [powodu] tyfusu plamistego.

Przewodniczący: Panie doktorze, jak przedstawiała się sprawa następstw niedożywienia, czy zauważyliście jakieś gwałtowne zwiększenie się chorób płucnych?

Świadek: Zaraz o tym powiem.

Chcę teraz parę słów powiedzieć o niemieckiej walce z dudem plamistym, jak niemiecka administracja prowadziła walkę w dzielnicy żydowskiej. Jak zwykle u Niemców, były to tylko pozory, markowanie tego, o co im chodziło – żeby jak najwięcej ludzi zginęło. Pod pozorem tego wykonywali pracę, która była karykaturą i – to bardzo dziwne, co powiem – ta walka wykonywana przez niemiecką administrację była gorsza od samej epidemii tyfusu. Bo na tyfus, nawet w tej drugiej epidemii, co czwarty ginął, ale trzy czwarte wracało do zdrowia. Walka odbywała się w ten sposób: jeżeli w jakimś domu stwierdzono przypadek zachorowania na dur, chory musiał iść do szpitala. Odpowiadał za to chory, jego rodzina i lekarz, ale w szpitalu nie było miejsca. Było strasznie, ale musiał iść do szpitala. Walczyliśmy szereg miesięcy, wreszcie przekonaliśmy dr. Hagena, że jeżeli chory ma czysty pokój, niech choruje w domu. Później się zgodził. Cały dom i dwa domy sąsiednie były policyjnie zamykane na okres paru tygodni. Cała ludność tego domu musiała iść do kąpieli, do dezynfekcji i tutaj występowała karykatura zwalczania epidemii. Otóż w całej dzielnicy żydowskiej można było wykąpać dziennie maksymalnie tysiąc do dwóch tysięcy osób, a do tych kąpieli pędzono pięć – dziesięć tysięcy. Tak, że ludzie całymi dniami wystawali w kolejkach i to było najgorsze, czyści i brudni razem, ludzie czyści zakażali się, ulegali zaważeniu i dopiero w ten sposób epidemia się rozszerzała.

Po co to było potrzebne? Było potrzebne po to, żeby *Ober Desinfektor* Braun na całą dzielnicę żydowską, który utworzył mieszaną kolumnę dezynfekcyjną składającą się z Niemców, Polaków i Żydów, mógł zarobić. On nic innego nie robił, tylko brał łapówki, to była główna praca. Kiedy przychodzili na teren domu, gdzie wybuchł tyfus, mówili, że trzeba odkażać rzeczy, zrobić komory, nigdy nie wybierali na ten cel mieszkań biednych, tylko zawsze najbogatsze, gdzie było czysto. Jeżeli dostali łapówkę, na miejscu urządzali libację, a [jeśli] nie, to tutaj wnosili brudne łachy z całego domu i to czyste mieszkanie było zawszone. Zapowiadali też: My tutaj zrobimy taką dezynfekcję, że wszystko zniszczymy, a przecież rzeczy wtedy były na wagę złota. Tak wyglądały dwa sposoby walki.

Trzeci sposób polegał na nakazie kwarantanny, to znaczy, że jeżeli w jakimś mieszkaniu wybuchł tyfus, to trzeba wszystkich lokatorów wziąć na kwarantannę na parę tygodni. To jest do pomyslenia, jeżeli epidemia jest mała, ale przy takiej wielkiej epidemii trzeba właściwie całą dzielnicę wziąć do kwarantanny, bo nie było domu ani mieszkania bez tyfusu. To było znów źródło łapówek i nadużyć. Nic więcej nie było robione w celu zwalczania epidemii. W ten sposób z tyfusu zginęło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi w drugiej epidemii.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że główną przyczyną śmiertelności w dzielnicy żydowskiej był tyfus. Nie, główną przyczyną narastania liczby wypadków śmierci był głód i gruźlica. Dane nam było oglądać patologię głodu w tak wielkich rozmiarach, jak może to widzieli lekarze w obozach koncentracyjnych. Bo dzielnica żydowska to był właściwie jeden wielki obóz koncentracyjny. Były dwa rodzaje choroby głodowej – albo nieszczęśliwi ci puchli z głodu i zamieniali się w wielkie banie napełnione płynem, albo były to szkielety na pół żywe. Albo chudli, albo były to kolosalne obrzęki głodowe. Jedna i druga forma prowadziła do nieuchronnej śmierci. Kiedy epidemia tyfusu w kwietniu 1942 r. wygasła, a wygasła samoistnie, bo taki jest los wszystkich epidemii – choć warunki się pogarszały, brud i zawszenie było coraz większe jednak epidemia wygasła, bo takie jest prawo, że kiedy pewna część populacji przechoruje, epidemia wygasa, zarazem jest mniej zjadliwa i zamiera. Epidemia wygasła samoistnie, ale cały szpital wypełniony został nieszczęśliwymi chorymi głodowymi i tutaj byliśmy zupełnie bezradni, bo głód można leczyć tylko odpowiednim żywieniem. W pierwszym rzędzie powinno się składać z białka, tłuszczu i witamin, a myśmy mieli kaszę, liche chleb i kartofle. Jeżeli głodny i obrzmiały je tylko kaszę, to jeszcze bardziej puchnie i prędzej ginie.

Obok tego zastraszająco szerzyła się gruźlica. Jest to choroba, gdzie najważniejszą rolę odgrywa wzmoczona odporność organizmu. Rzecz prosta, że organizm niedożywiony i głodny nie może się bronić. Dotyczy to przede wszystkim dzieci, które masowo ginęły od gruźlicy. I znowu rzecz ciekawa, że gruźlica zupełnie inaczej przebiegała niż dwojenna, dogettowa, jak ostra choroba zakaźna, jak zapalenie płuc i kładła kres życiu w ciągu paru dni lub tygodni. Nie widzieliśmy przewlekłej gruźlicy, a jeżeli, to bardzo rzadko.

Tak, jak były urządzane wycieczki niemieckie do dzielnicy żydowskiej, żeby pokazać tę nową Europę, tak samo były wycieczki do szpitala. Prawie co tydzień piękne autokary zajeżdżały z wycieczkami niemieckich lekarzy, przeważnie takich, którzy dopiero ukończyli medycynę. Prowadzili ich lekarze starsi, często z administracji GG. Wycieczki te prosiły o demonstrowanie im tyfusu plamistego, a jak nie było tyfusu, prosili o pokazywanie głodu, przebiegu patologii głodu. Przewinęło się tych wycieczek bardzo dużo, lekarzy było bardzo wielu, przewracali tych nieszczęsnych chorych z boku na bok i zadawali zwykle nam, lekarzom, rzeczowe pytania, a mianowicie takie np.: „Jak długo trzeba nie jeść, ażeby dojść do tego stanu?” albo: „Za ile dni ten dzieciak umrze?” Takie były pytania, które nam zadawali nasi niemieccy koledzy, ale ani razu nikt z nich nie zapytał się, dlaczego ci ludzie nie mają co jeść. Takiej kwestii nie było. Nikt z nich nie zapytał, czy nie można pomóc w czymkolwiek, czy nie można wystarać się o jakąś żywność. Takich pytań ze strony niemieckich lekarzy nie mieliśmy.

Jeśli chodzi o wybuch epidemii duru plamistego, to jaskrawym przykładem tego były tzw. obozy pracy, organizowane w dystrykcie warszawskim przez urząd pracy – *Arbeitsamt*. Jak zwykle i tu zaczynało się od obłudnych cynicznych kłamstw. Tak jak do gminy zwracał się urzędnik cywilny, tak do szpitala zwracał się lekarz niemiecki i mówił: Właśnie mamy zrobić obozy, w których młodzież ma się uczyć pracować i do tych obozów prosimy o delegowanie lekarzy. Mój syn i moja córka też co roku muszą o takiego obozu iść, a więc i wy musicie. Lekarze poszli, ale cóż to były za obozy pracy? To były w ścisłym tego słowa znaczeniu obozy śmierci. Opowiadali lekarze, którzy stamtąd wracali. Zawsze po paru miesiącach w takim obozie wybuchała wielka epidemia tyfusu plamistego. Wtedy, w zależności od widzimisię kierownika takiego obozu, a kierownikami byli wyrafinowani sadyści SS-mani (między innymi wyróżnił się SS-owiec Dahl swym specjalnym okrucieństwem) albo na miejscu zabijano wszystkich chorych, albo łaskawie przywożono ich do nas, do szpitala. W parę miesięcy po utworzeniu tych obozów cały szpital był wypełniony chorymi, którzy zanim zachorowali, byli w straszliwy sposób maltretowani, jak np. jeden z nich, który stale

przez trzy miesiące po dziesięć godzin dziennie trzymany był w zimnej wodzie do piersi. Oczywiście, że takich chorych uratować się nie dało.

Na wiosnę 1942 r. obraz getta był straszliwy. Chociaż epidemia duru plamistego już wygastała, ale głód i gruźlica szerzyły się w straszliwy sposób. Wtedy właśnie zjawia się w getcie ekipa, która filmuje dzielnicę. O tej ekipie prawdopodobnie oskarżony Fischer też wie. Film ten jest wybitną charakterystyką niemieckiej propagandy, jak się ją robi i do jakich granic to może dojść. Oczywiście, ekipa niemiecka wyposażona była w doskonałe, piękne aparaty ruchome na samochodach i najnowocześniejsze urządzenia. Zaczynało się od nakręcania niewinnych scen, a więc np. tramwaj żydowski, oznaczony gwiazdą syjońską, a z tyłu czepiająca się chmara biednych, żebrzących, wychudzonych dzieci. Ale już nazajutrz odbywały się inne sceny. A więc młoda elegancka Żydówka jedzie rikszą i, oczywiście pod gradem bicia i rewolwerem, musi podnieść wysoko nogę, ażeby pokazać udo i kopać żebraków, którzy za tą rikszą również pod groźbą rewolweru muszą podążać. Inna budująca scena: bal przy ul. Chłodnej 20, gdzie był jedyny ładny dom w getcie i gdzie muszą być lokaje w liberiach i w białych rękawiczkach, tańce i szampan i gdzie w tańcu, pod groźbą rewolwerów, trzeba starać się o to, ażeby ten taniec był wyuzdany i pokazać, jacy to Żydzi niemoralni.

Inne zdjęcie – wspólna kąpiel chłopców i dziewcząt. Jeszcze inne – restauracja na Karmelickiej, gdzie każe się, ażeby Żydzi rozrywali rękami kotlety, ażeby to jedli łąpczywie. Takie sceny się nakręca, oczywiście przy towarzyszeniu bicia i wciąż pod groźbą rewolweru. Echem tego filmu były zdjęcia, jakie w 1943 r., a więc wtedy, kiedy z getta nie było już żadnego śladu, widziałem po aryjskiej stronie w „Illustrierte Völkischer Beobachter”, gdzie pokazywano, jak tu cudownie Żydzi żyją sobie w gettach w Polsce.

W tych warunkach śmiertelność narasta – przed wojną w Warszawie wynosiła ok. dziesięciu promili, to znaczy, że na ok. 350 tys. ludności żydowskiej umierało 350 osób miesięcznie, średnio trzydzieści osób dziennie. Tymczasem w 1940 r. liczba zwłok wynosiła trzy tysiące miesięcznie, w 1941 r. cztery – pięć tysięcy, a w 1942 r. do ośmiu tysięcy miesięcznie, a więc wzrost śmiertelności piętnasto-, a czasem i trzydziestokrotny. W ten sposób, w ciągu dwóch i pół roku rządów Fischera w getcie warszawskim zginęło 120 tys. ludzi, a z pozostałych jedna trzecia podług naszych rachunków, była w tak daleko posuniętym stanie charłactwa wygłodzeniowego, że właściwie zginęłaby już w najbliższym czasie. Jasna rzecz, że gdyby getto trwało jeszcze trzy lub cztery lata, to cała ludność by wymarła. Pomimo wzrostu

śmiertelności, w chwili likwidacji getta jednak znów tam było przeszło 400 tys. ludzi. Śmiertelność narastała, a liczba mieszkańców również narastała, ale, jasna rzecz, nie dzięki rozrodczości, bo rozrodczość była równa prawie zeru, ale dzięki temu, że kiedy zabrakło Żydów w Polsce, spędzono do Warszawy Żydów z całej Europy, a więc z Niemiec, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii, Bułgarii, Grecji, a nawet z Norwegii i oczywiście wszyscy tu znaleźli swoją śmierć. Jednak widocznie w lipcu 1942 r., kiedy ze Wschodu nadciągały groźne chmury, tempo wymierania Żydów okazało się za wolne i postanowiono przystąpić do mordu na skalę gigantyczną, do likwidacji getta. Tutaj gubernatora Fischera zastąpili nowi rycerze nordyccy, którzy się wtedy zgłosili, również wysocy, błękitnoocy, długogłowi, również rozmiłowani w muzyce, bo codziennie po spędzeniu paru tysięcy ludzi do wagonów do Treblinki i po zamordowaniu kilkuset ludzi na miejscu, po rozbijaniu dzieci o bruk, wieczorem zbierali się na ul. Żelaznej, gdzie mieli swój *Umsiedlung Heim* i tam, przy dźwiękach muzyki, odbywały się nocne zabawy.

Jeśli chodzi o sam okres likwidacji getta, to szpital mieścił się przy ul. Stawki i okna wychodziły na słynny *Umschlagplatz*, miejsce grozy dla ludności żydowskiej warszawskiego getta. Przez wiele tygodni od początku [akcji] Niemcy do szpitala nie wkraczali, a dopiero później zabrali się do likwidacji chorych i lekarzy, na początku zaś mówili, że szpital dla nich to święta rzecz i raz tylko dr Lamprecht, kiedy był lekko pod gazem, powiedział jednemu z naszych lekarzy: „Die Ärzte werden die letzte erschossen”. Na razie lekarze byli im potrzebni tak, jak potrzebni byli grabarze, którzy też zostali *letzte erschossen*. Otóż z okien szpitala na Stawkach widzieliśmy codziennie, jak masy ludzi wtłaczane były do tych słynnych wagonów, zdążających do Treblinki, widzieliśmy krewnych, bliskich, znajomych, którzy błagalnie patrzyli w górę, szukali jakiegoś ratunku. Czasem udawało się niektórych ludzi wyciągnąć z tego placu, dzięki temu, że symulowali rannych lub chorych, a wówczas Niemcy pozwalali jeszcze zabierać ich do szpitala.

Przygotowywano dla nas jednak coraz to inne zarządzenia. Ci panowie, jak Brandt, Heyman, Michelson, Münde i inni już się o to starali. Obarczyli nas na przykład taką misją. Były takie domy, gdzie przebywali uchodźcy z Niemiec. Więc lekarz ze szpitala miał iść do takiego domu i tam na miejscu określić, kto jest *transportfähig*, a kto nie, to znaczy, że ten kto jest *transportfähig* wyjedzie do Treblinki, a ten kto jest *transportunfähig* będzie na miejscu rozstrzelany. I to lekarze z naszego szpitala mieli na miejscu decydować.

Albo inna misja. Popełniano wtedy masowo samobójstwa, ludzi truli się przeważnie cyjankiem. Ponieważ cyjanek był zwietrzały, śmierć często nie następowała natychmiast. Do naszych obowiązków należało zbierać wszystkich zatrutych, bo przecież „kultura” tego wymagała, musieli mieć opiekę lekarską. I my, którzy widzieliśmy tysiące młodych, zdrowych ludzi, idących na śmierć, mieliśmy ratować tych, którzy popełnili samobójstwo.

Oczywiście, lekarze niemieccy brali w tym wszystkim udział, bo zawsze przy placówce był lekarz niemiecki asesor.

Inne zlecenie. Wyjeżdża transport do Treblinki. Naraz wpada do szpitala SS-man, wzywa lekarza naczelnego i mówi, że jedzie transport na zachód, na kolonie, potrzebny jest lekarz, bo jakże może jechać bez lekarza. W kulturalnym państwie bez opieki lekarskiej transport się obejść nie może. Trzeba więc zgłaszać się na ochotnika. Wtedy jeszcze nie brali lekarzy do Treblinki, ale zdarzył się taki kaprys, żeby czasem ich brać. Powstawała więc kwestia, kto ma jechać na śmierć już zaraz. Rozgrywały się straszne sceny. Chcieliśmy się uchylać od tego. Powiedziano, że kierownik musi koniecznie wyznaczyć dwóch lekarzy. Albo inne zagadnienie. Ponieważ ludności ubywało przez wywożenie do Treblinki, trzeba było zredukować personel szpitala. Kazano dyrekcji szpitala ułożyć listę, tzn. skazywać ich na śmierć, swoich najbliższych współpracowników. To były metody, którymi się oni kierowali.

W okresie likwidacji getta tworzone były słynne tzw. szopy. To były zakłady, które pracowały dla potrzeb armii. Znow trzeba było tworzyć dla nich opiekę lekarską. I tak ciągle i stale nas dręczono. W tym świetle przedstawia się mniej więcej przebieg epidemii.

Jeszcze raz chcę podkreślić to, co wczoraj było rozważane, mianowicie, że epidemia duru plamistego na jesieni 1940 r. w dzielnicy żydowskiej, kiedy jeszcze nie było getta, nie istniała. Epidemia wystąpiła na wiosnę, a właściwie w czerwcu 1941 r. Jeśli lekarze niemieccy takie artykuły podpisywali, to dlatego, że wymagała tego propaganda, bo tyfus plamisty był tylko pretekstem dla utworzenia zamkniętego getta.

Propaganda tego wymagała. Ale gdybyż pisali to tylko w GG. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że obok lekarzy, którzy grasują w Warszawie i na terenie GG, są lekarze w obozach koncentracyjnych, którzy robią te słynne doświadczenia, że są tacy lekarze jak prof. Schroll [Schilling?], światowej sławy hematolog, staruszek osiemdziesięcioletni, który prowadził badania w Ravensbrück [Dachau?], a który został powieszony, i te rzeczy nie chciały się

nam w głowach pomieścić, żeby lekarze mogli podpisywać tak cyniczne bzdury, że Żydzi nie umierają na tyfus plamisty. Przecież leżały stosy trupów, na które ci lekarze patrzyli. Przecież stwierdzone zostało, że śmiertelność wśród chorych w szpitalach frontowych na wschodzie wynosiła tylko siedem – osiem procent, a więc trzy razy mniej niż w drugiej epidemii w getcie. Zresztą, jeżeli Fischer powołuje się na powagę [zawodu], to powołuje się na lekarzy niemieckich, bo na całym świecie przed wojną żaden lekarz europejski czy amerykański nie pisał takich bzdur i kłamstw.

Prokurator Siewierski: Czy dr Schremppf podlegał bezpośrednio dystryktowi, czy też urzędowi *Stadthauptmanna*?

Świadek: Przyznam się, że dokładnie się w tym nie orientuję, ale raczej dystryktowi. To szło z Krakowa, tam była centrala, więc przypuszczam, że nie *Stadthauptmann* o tym decydował.

Prokurator Siewierski: Czy Niemcy zaopatrywali szpitale w lekarstwa i w jaki sposób pokrywali zapotrzebowanie szpitali? Dalej, czy lekarze i chorzy w getcie mieli możliwość legalnego zaopatrywania się w lekarstwa?

Świadek: Na początku, kiedy szpital był pozbawiony opieki miejskiej, panował zupełny chaos. Później pozwolono zakupywać lekarstwa w wydziale miejskim polskiego Zarządu Miejskiego, ale tam było bardzo mało lekarstw. Poza tym można było zakupować lekarstwa, których zresztą była na rynku minimalna ilość. W chorobach zakaźnych lekarstwa nie odgrywają jednak wielkiej roli.

Sędzia Grudziński: Jak było z kwestią odżywiania? Ile kalorii przyznawano dla zdrowego i dla chorego?

Świadek: Przydziały oficjalne, jak już mówiłem, wynosiły dziesięć procent zapotrzebowania, a więc 200–250 kalorii wtedy, kiedy normalne zapotrzebowanie jest 2,5 tys. – 3 tys. kalorii. Te oficjalne przydziały były rozprowadzane przez *Transferstelle*. Resztę musieliśmy dokupować za pośrednictwem instytucji filantropijnych. Później mieliśmy możliwość dokupować pewną ilość żywności po cenach wolnorynkowych z funduszu gminy.

Sędzia Grudziński: Czy przydziały szpitalne mieściły się w tych samych wartościach kalorycznych, czy były specjalne?

Świadek: Staraliśmy się dla szpitala kupować na wolnym rynku artykuły bardziej wartościowe, a więc trochę tłuszczu i białka. Zamiast białka dawaliśmy chorym stężoną krew. Po przesmażeniu stanowiła ona dobrą odżywkę i chorzy to jedli. Poza tym wyżywienie tak całej dzielnicy, jak i szpitali, było niedostateczne pod każdym względem.

Adwokat Chmurski: Panie doktorze, czy ci lekarze niemieccy, którzy podpisywali opinię w sprawie tyfusu plamistego i w ogóle epidemii, byli to zwykli przeciętni lekarze, czy też były to autorytety lekarskie?

Świadek: Byli różni. Przeciętni i o dużej sławie, jak prof. Kudicke, znany w dziedzinie bakteriologii i serologii, był on w Krakowie, ale przyjeżdżał do Warszawy, i mniej znani – jak Schrempf, Lamprecht i inni.

Adwokat Chmurski: Czy oprócz Kudicke byli inni wybitni teoretycy?

Świadek: Nie. Artykuły w „Warschauer Zeitung” i w „Nowym Kurierze Warszawskim” nie były podpisywane albo podpisywane przez osoby mniej znane.

Adwokat Chmurski: Jak się przedstawiała kwestia kontroli niemieckiej administracji sanitarnej w getcie w czasie, który pan doktor był łaskaw tutaj przedstawić?

Świadek: Był lekarz sanitarny miasta Warszawy, a jednocześnie i dzielnicy żydowskiej, dr Schrempf, potem Hagen.

Adwokat Chmurski: Czy z centrali, z GG, przyjeżdżali inni lekarze i kontrolowali?

Świadek: Może i przyjeżdżali do dystryktu, ale ja nie wiem. Z nimi było bardzo trudno mówić, bowiem nie witali się, nie podawali ręki, nie zdejmowali czapek. Przychodził taki docent Menk, który chciał robić pracę naukową, chciał leczyć tyfus plamisty surowicą ozdowieńców. Jest to metoda dawniej stosowana, ale bezskuteczna.

Przychodził do szpitala, miał ze sobą dwóch Niemców, trzech lekarzy z Państwowego Zakładu Higieny; ta ekipa zajmowała się pracą na naszych chorych i w tym czasie my nie mieliśmy [do nich] dostępu. *Nota bene*, Menk nigdy się nie witał, nie zdejmował czapki. Robił tę pracę, oczywiście ona żadnego wyniku nie dała. Potem jednak w Wydawnictwie Ausserwalda i Bayera z 1944 r. pisano, iż prof. Menk, bo z docenta awansował już na profesora, zajmował się leczeniem tyfusu surowicą ozdowieńców, że to dawało rezultaty.

Dr Schremppf pozazdrościł wawrznów Menkowi i chciał również zrobić pracę naukową. Postąpił podobnie jak Ausserwald, który kazał gminie żydowskiej przygotować srebrny nocnik, tak Schremppf przysłał wielką płachtę papieru, na której wypisane były pytania, które miało się wypełnić w ciągu tygodnia z kart szpitalnych dotychczasowych chorych, mimo przyjęć trzech specjalnych urzędników, do tego na koszt gminy żydowskiej, i potem Schremppf miał pisać pracę o tyfusie plamistym. Tam były rubryki, na które trudno było odpowiadać, więc pisało się byle co. Czy on na podstawie tego zrobił pracę naukową, nie wiem, ale kiedyś znalazłem w jakimś piśmie wzmiankę o docencie Schremppfie. Zdaje się, że zginął on podczas bombardowania Lubeki.

Adwokat Chmurski: Czy panowie składaliście zażalenia do wyższych władz administracji w sprawie stosunków sanitarnych, które były, najdelikatniej się wyrażając, zupełnie wadliwe?

Świadek: Bezspornie. Ja jestem lekarzem klinicznym, ale była tzw. Rada Zdrowia, Hirszfeld, Zweibaum i inni, chodzili do Lamprechta, do *Gesundheitspflege Amt*, ale bez żadnego skutku.

Adwokat Chmurski: A czy do Krakowa się zwracano?

Świadek: Zdaje się, [że] również, ale pan mecenas źle sobie wyobraża, jakie to były rozmowy i konferencje. Trzeba było stać i słuchać, a jak nie – to pięścią w twarz.

Adwokat Chmurski: Jeżeli robiło się to na piśmie, to trudno było dostać w łeb.

Świadek: Prof. Hirszfeld pisał memoriały, ale bez skutku. Memoriały te pisano nie jeden, ale dziesięć razy. Wszystko było bez skutku. Epidemia została wywołana przez Niemców po to, aby mieć materiał propagandowy. Chociaż tyfus nazywany jest zawsze chorobą głodu albo wojny, to śmiało można powiedzieć, iż to jest choroba niemiecka.

Adwokat Śliwowski: Kiedy przyszedł dr Schremppf?

Świadek: W październiku 1939 r.

Adwokat Śliwowski: Z czyjego ramienia przyszedł?

Świadek: Nie zwykł nic mówić. Miał bat w ręku i rewolwer.

Adwokat Śliwowski: Czy nie otrzymał nominacji od *Reichsgesundheitsamt*?

Świadek: Nie wiem.

Oskarżony Fischer: Doktor Schrempf i dr Hagen byli lekarzami urzędu sanitarnego m. Warszawy i mieli kontrolę nad gettem. Do zeznań świadka nie mogę dać specjalnych wyjaśnień. Są to kwestie lekarskie. Mogę tylko powiedzieć, że działaliśmy na żądanie lekarzy niemieckich.

Adwokat Śliwowski: Nie mam więcej pytań do oskarżonego Fischera, natomiast w związku z tym mam pytanie do świadka. Czy świadek kiedykolwiek, w związku z kwestią zdrowotną w dzielnicy żydowskiej, względnie późniejszym utworzeniem getta ścisłego, względnie dzielnicy żydowskiej, stykał się [z] *Abteilung Gesundheit*?

Świadek: Na to mogę odpowiedzieć, że ja nie pracowałem w administracji sanitarnej, ja pracowałem w szpitalu, ale wiem, że wszystkie delegacje, które chodziły, chodziły nie do magistratu, tylko pałacu Brühla, gdzie urzędował Byliński, volksdeutsch, który jest dziś gdzieś pod Poznaniem.

Adwokat Śliwowski: Czy świadek lub kolega świadka, względnie inne osoby w administracji szpitalnej lub związane ze służbą sanitarną w getcie lub w dzielnicy żydowskiej, kiedykolwiek stykały się w jakikolwiek sposób z oskarżonym Leistem?

Świadek: Ja nie, a czy inni – nie mogę powiedzieć.